

Testament pracy



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI (mal. Wincenty Smokowski, około 1840 r., Muzeum Narodowe w Poznaniu).

W pracy najczystsza rozkosz tej ziemi.

J. I. Kraszewski

Najpracowitszy człowiek, jakiego naród polski wydał, odświadczył od siebie jak najbardziej myśl o kresie wszelkich swych prac.

— O, jakże on umierać nie chciał! — stwierdza świadek ostatnich chwil Józefa I. Kraszewskiego w hotelu genezy, Teodor Tomasz Jeż.

Pragnienie miał Kraszewski jedno jedyne: pracować! Ani razu z ust mu się nie wyrwało inne usprawiedliwienie celu życia.

Autor „Robót i prac” (1875) wytykał: Umiejętność, oprócz wytrwałej pracy.

Kraszewski jednak pierwszy twierdzeniu swemu najmocniej sam zaprzeczył. Wskazał potem nosić drogę systematycznej i wytrwałej pracy.

(„Wspomnienia o J. I. Kraszewskim”, 1888).

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 21 X 1956
Rok VII Numer 41

Izotopy służą gospodarce

Już minął rok od objęcia prac badawczych przez utworzony Instytut Badań Jądrowych. Na jednym z jego terenów, w pobliżu Warszawy, postępuje obecnie budowa Centralnego Ośrodka Badań Jądrowych. Już wkrótce pomieści się w niej reaktor jądrowy, rozpoczną prace laboratoria fizyki jądrowej, radiochemii i in.

Równocześnie ośrodek krakowski stawia specjalny budynek dla cyklotronu. Po 4 latach prac, ośrodek krakowski zakończył budowę akceleratora Van de Graafa — dzięki niej Kraków staje się obecnie jednym z najpoważniejszych w kraju ośrodków badań atomowych. Po zakończeniu budowy podobnego akceleratora, atomowcy warszawscy rozpoczynają budowę pierwszego w kraju akceleratora liniowego o energii 19 Me V. Oblicza się, że budowa potrwa dwa lata — ale już dziś mówią w instytucie, że będzie to zaledwie część znaczącej potężniejszego urządzenia...

Oto w krótkim zarysie prace — nazwijmy je „montażowe” — organizatorów polskich badań atomowych.

W JAKI SPOSÓB TE POTĘŻNE, DOTYCHCZAS NIEZNAJNE U NAS URZĄDZENIA BĘDĄ NAM SŁUŻYŁY?

Otóż reakcja łańcuchowa, zachodząca w reaktorze, wyzwala ogromną energię cząstek... Wytwarza się nieosiągalna dotychczas innymi środkami temperatura. Doprawdy, trudno określić w tej chwili — jak wielkie perspektywy otwierają się przez to przed fizyką. A cyklotron? W nim nadaje się szybkim cząstkom energię milionów i miliardów elektronowoltów. Rozpoczynają one „bombardowanie” jąder atomów, różnych pierwiastków. Z nich powstają pierwiastki nowe, izotopy.

A izotopy — wiadomo...

Ze stosowaniem izotopów w różnych dziedzinach naszego życia spotykamy się coraz częściej. Przed kilku miesiącami uchwała Prezydium Rządu ustaliła zakres prac wstępnych, związanych z wprowadzeniem izotopów promieniotwórczych w służbę narodowej gospodarki.

Szereg ministerstw: Hutnictwa, Rolnictwa, Zdrowia, Przemysłu Maszynowego — no,

i, oczywiście, PKPG mają zapewnić odpowiednie warunki dla tych prac. Pierwsze próby zastosowania izotopów w przemyśle zdążył egzamin. Przy ich pomocy naukowcy, współpracujący z hutnictwem, mogli przystąpić do rozwiązania jednego z najtrudniejszych zagadnień technologii odlewania stali i jej dalszej przeróbki.

Ze stali zanieczyszczonej szamotem powstawała blacha, nie nadająca się do produkcji specjalnej aparatury przemysłowej. Trzeba było zanieczyszczenia wykręcić i likwidować wcześniej... Uniknęłoby się w ten sposób dużych strat. Ale jak? Nie można było rozwiązać tego zagadnienia, zanim nie sprowadzono izotopów do pomocy. W ten sposób Instytut gliwicki rozpoczął swe pierwsze próby stosowania izotopów w hutnictwie. Zastosowano izotop Fe-59, przypominający nikły pył, zamknięty w ampułce. Miał on wykręcić, gdzie i jak zanieczyszczenia się stał — miał wskazać, jak tych zanieczyszczeń uniknąć. Sam proces zanieczyszczenia następuje w szamotowych kanałkach — którymi roztopiona stal spływa do formy. W hutnictwie stosuje się kilka rodzajów szamotu. Odpowiednie porcje izotopu wprowadzono do mas szamotowych, po czym z tych mas zbudowano kanałki. Końcowy etap doświadczeń odbył się już przy udziale hutników. Zbadano rozkładaną blachę z trzech rodzajów stali, spływającej trzema zbudowanymi kanałkami. Izotop dopomógł tu stwierdzić, który gatunek szamotu jest najlepszy. Wskazał również miejsca, w których gromadzą się zanieczyszczenia — można je po prostu odrzucić przed walcowaniem stali na blachę.

Ostatnio — również po raz pierwszy w kraju — zastosowano izotopy przy badaniach wytrzymałościowych. W hucie „Ferrum” powstał pierwszy walczek kotłowy na ciśnienie 110 atmosfer o grubości ścianek 99 mm. Takie walczaki są podstawową częścią kotłów wysokopiętnych. Sprowadzaliśmy je dotychczas z zagranicy — obecnie pierwsze próby produkcji podjęła huta „Ferrum”. Otóż i tu izotopy — wiązkę promieni wydobytych z małej ampułki kobaltu — użyczyło do przesświetlenia jakości szwów walczaka.

Małe laboratoria, posługujące się izotopami kobaltu, powstaną w kilku zakładach i instytucjach, m.in.: w Instytucie Odlewnictwa, w spawalnictwie, w stocznich gdańskiej i gdyńskiej, w hucie „Małapanew”, w laboratorium Energo-

(Ciąg dalszy na str. 4)

Zbigniew Pędziński

Przeciw „urzędolaniu” w kulturze

Od pewnego czasu ukazują się w prasie i słyszy się w radio wiadomości o organizacji w poszczególnych miastach wojewódzkich rad kultury i wojewódzkich zarządów instytucji kulturalnych. W ten sposób i na terenie kultury doszłaby do głosu koncepcja jak najszerzej pojętej decentralizacji, która staje się coraz bardziej popularna w życiu politycznym i gospodarczym naszego kraju. Oczywiście, sama organizacja i kompetencje wojewódzkich rad kultury i zarządów instytucji kulturalnych nie są jeszcze czymś ustalonym i opracowanym do ostatniego szczegółu, a przeciwnie znajdują się wciąż w ogniu dyskusji i polemiki aktywów kulturalno-oświatowych poszczególnych województw. Tym bardziej warto pomyśleć nad wszystkimi „za” i „przeciw” przemawiającymi za tymi nowymi komórkami organizacyjnymi i kierowniczymi dla życia kulturalnego, zwłaszcza, że mają one powstać również i w naszym mieście i województwie.

Powiedzmy sobie szczerze, że mamy dość smutne doświadczenia z urzędami dla spraw kultury. Nazwa takiego CUK jest do dziś dnia pretekstem do nienagorczych dowcipów. Centralny Urząd Wydawniczy zbiera nareszcie zaczyna zasłużone cięgi za „dodatkę” wpływów na poziom literatury współczesnej, a zresztą i samo Ministerstwo Kultury i Sztuki nie zostało oszczędzone w fali gromów, które, niby znakomity piorunochron, zebrał na siebie Włodzimierz Sokorski.

Każdy, trzeźwo myślący sympatyk współczesnej kultury polskiej ma realne powody do obawy, czy jedynym pozytywnym rezultatem utworzenia wojewódzkich rad kultury i zarządów instytucji kulturalnych nie będzie osłabienie siły biurokracji w tej dziedzinie, wskutek — rozprzeczania jej równomiernie po całym kraju zamiast dotychczasowego skupienia w Warszawie.

Postawmy sprawę od razu jasno: sama koncepcja powołania do życia wojewódzkich rad kultury i zarządów instytucji kulturalnych jest pomysłem dobrym i zasługującym na szybką, ale tym więcej rozumną realizację. O cóż w tym pomysł przede wszystkim chodzi? Ażeby społeczeństwo poszczególnych regionów, dość zróżnicowanych przecież nie tylko w swoich potrzebach i możliwościach gospodarczych, ale i kulturalnych, miało na zaspokajanie tych potrzeb oraz ich rozwój wpływ istotny, jeśli nie decydujący. Któż bowiem lepiej od miłośników filmu w Poznaniu, czy Kościanie odczuwa potrzebę nowych kin lub konieczność częstszej zmiany programów, ktoś rozsądniej niż chłopcy wielkopolscy osądzi wartość i celowość programów wiejskich rozgłośni poznańskich? Krytyka i postulaty zgłaszane przez korzystających z regionalnych instytucji kulturalnych (nie: decydujących o nich) — mają dlatego pierwszorzędne znaczenie, niezaprzeczającą wartość.

Dlatego sens istnienia Wojewódzkiej Rady Kultury i zarządów instytucji kulturalnych zależy przede wszystkim od czułości tych organów na tak zwany „głos terenu”, na życzenia i oceny płynące z najszerzych warstw konsumentów kultury. Oczywiście, nie znaczy to, aby owe instytucje miały rezygnować z funkcji wychowawczej, a w pewnych wypadkach nawet nadzorczej. (Cóż by się na przykład działo, gdyby zaczęto spełniać postulaty chuliganów, życzących sobie jak najszerzej popularyzacji niewybrednej kryminalistyki i pornografii w naszej prasie i radio?)

Wynikająca stąd niewątpliwie konieczność żywotności i przeżycia Wojewódzkiej Rady Kultury i Zarządów Instytucji Kulturalnych zależy jednak od tego, kto będzie w tych instytucjach zasiadał, kto będzie nimi kierował, a zwłaszcza: kto będzie w nich pracował? Nie mam w tej chwili zamiaru stawiać jakiegokolwiek projektu obsady personalnej WRK i ZIK. Chciałbym natomiast z góry zaprotestować przeciw obsadzeniu tych instytucji przez wielu urzędników od spraw kultury!

Dlaczego: wielu? Jest groźną chorobą przeróżnych mniejszych i większych komórek życia kulturalnego, że wspierają się na nieskapej ilości etatów. Zatrzymam się dla przykładu na smutnej sprawie zespołów redagujących czasopisma kulturalne. Jeśli przedwojenne periodyki (obojętne: lewicowe czy prawicowe) były redagowane często przez dwie, trzy etatowe siły redakcyjne — obecnie sam dział krytyki literackiej „Nowej Kultury” (czytelnikom tego pisma jedynie wiadomo, jak rzadko daje on teraz o sobie znać na szpaltach numeru), obsługuje dwoje eta-

(Ciąg dalszy na str. 4)

Jesienne refleksje z HELU

Tradycja i postęp

„U boga wdowa” jak przed wiekami chodzi wioską ulicą, potrząsa pięknym starożytnym dzwonkiem i ogłasza wiadomości miejscowe. Jak przed wiekami ludzie (nie wszyscy) wierzą w czary; tak dalece, że w okolicy działa nawet czarownik, a czarownice jest chyba z pół kopy. I jak przed wiekami ludność tłumnie zapełnia kościoły. Nie jest to przy tym — jak gdzie indziej w Polsce — demonstracja wyrażnie polityczna, ale jeszcze jeden szczyt przejawu tradycji. Z tradycją zaś, wiadomo rzecz jest bardzo nieprosta: stoi na drodze postępu, a jednocześnie zawdzięczamy jej wiele. Ktoś powiedział, że naród, który przetrwał związki z przeszłością, niszczy zarazem i przyszłość. Trochę w tym przesady — ale i sporo racji.

Nie wszystko zresztą na Helu jest starożytnością. Nowe są domki — czyste, o pięknych, kafelkowych kuchniach — budowane w krótkim a bujnym okresie prosperity lat 1946—48. Nowa — choć zdążyli już o tym zapomnieć — jest zamożność rybaków. Aż do końca wilhelmińskich czasów spełzały na niczym wysiłki hakaty, by sprowadzić tu osadników niemieckich: bieda była zbyt wielka. Dzięki niej wprawdzie 97% mieszkańców zachowało swą polskość, ale nie sądzimy przypadkiem, że jest to argument za biedą. Przeciwnie: niepodległość, jedna i druga, utwierdziły tu polskość, gdyż przyniosły fale dobrych zarobków. A dziś wszystko kruszeje, odkąd władze miejscowe uznały (może z powodu kiepskiego rytmu) rybaków za kulaków. I odkąd zabiegają usilnie, by utrudniony był negatywnie określić ich socjalistyczną świadomość.

Przygodni obserwatorzy, wśród których pełno jest pięknotuchów, zarzucają Kaszubom przyziemność, wyrachowanie i brak polotu. Przyziemni są istotnie, ale czy to źle? Przyziemność ta sprawia, że wioska ma tylko jednego zło-dzieja. Poczynają z nim sobie jak za czasów pradziadów: schwytanego na gorącym uczynku bija „pokąd nie padnie”. Co zaś do polotu, pamiętajmy jedno: zew morza nie musi koniecznym być taki, jak w powieściach Conrada. Bywa nieraz mocno prozaiczny, a równie prawdziwy.

Rybak jest indywidualista,

bardziej jeszcze niż góral. Zważmy, iż nawet na niewinnej Zatoce Puckiej dniem i nocą skrada się za nim śmierć. Toteż rybak, od malenkości ucząc się morza, uczył się zarazem polegać tylko na sobie i tych, czyją wierność i solidarność wypróbował dziesiątki razy w obliczu podstępnych żywiołów. Nie ma bodaj rybaka, który po kilka razy nie tonął, albo zamarzał na kość w lodowatym sztormie. Dobrze w takiej chwili mieć przy sobie pa-

ru doświadczonych kumpli. A jeszcze lepiej — syna. Syna, który od dziecka zaprawiał się w sztuce rybackiej i jako mały chłopiec dzielił już z ojcem niebezpieczeństwo, poznawał tajemnice, urok i grozę Bałtyku.

Tak było. Ale tak już nie będzie. Bo dzieciom nie wydaje się karty rybackiej. A bez karty rybackiej nie wolno wypływać na morze, nie wolno nawet wyszorować łodzi. Tak głosi przepis. Przepisu zaś (Ciąg dalszy na str. 3)



Na marginesie premiery „Holendra Tulacza”

Ryszard Wagner i jego dzieło

Lata 1839-41 należały do najsmutniejszych w życiu wielkiego kompozytora niemieckiego Ryszarda Wagnera. Przyszły reformator opery mieszkał wówczas w Paryżu, na próżno zabiegając w tamtejszym teatrze o wystawienie swej opery historycznej „Rienzi”. Artysta walczył z nie dostatkiem i częstokroć nawet przymierał głodem. Zmuszony jest komponować utwory do tańca i dokonywać przeróbek modnych nowości sezonu — na różnego typu orkiestry. Opera Paryska ostatecznie odrzuciła „Rienziego”, ale spodobał się dyrekcji pomysł jednoaktowej ballady „Holender Tulacz”.

Wagner pragnie napisać tekst i muzykę — jednocześnie. Nieścisłe przyjęte zostaje tylko libretto (jak wiadomo kompozytor był także wielce utalentowanym poetą).

Ale Wagner nie zraża się przeciwnościami. Tworzy zupełnie nowy tekst — teraz już trzyaktowej opery (na ten sam temat). W rekordowym czasie (kilka tygodni) powstaje również i muzyka do owego pierwszego dramatu w historii formy operowej. Oto urodził się „Holender Tulacz”, czwarta z kolei, ale bodajże jedna z najpiękniejszych oper wagnerowskich. Bo spośród wszystkich dzieł „mistrza z Bayreuth” historia o błądzącym po morzu

żeglarzu — upiorze przedstawia się wyjątkowo interesująco z punktu widzenia estetyki dramatycznej — tak literackiej jak i muzycznej.

Jest niezaprzeczonym faktem, że po niebywałych triumfach światowych patetycznych kolosy „późnego” Wagnera wystawiają obecnie głównie te-

zwłaszcza „Holendra”, „Lohengrina” i „Tannhäusera”.

Na czym polega nowatorstwo tej muzyki w stosunku do współczesności XIX wieku?

Otóż Wagner zrywa z dawnym podziałem opery na osobne numery arii, duetów i scen zbiorowych. Przeobraża śpiew w niekończącą się melodię dramatycznych recitatywów, wydobytą maksymalnym wyrazem z partii orkiestralnej, spajającej całość kompozycji przez stosowanie techniki motywów przewodnich (charakterystycznych poszczególnie postaci dramatu i ich przeżycia). Orkiestra wagnerowska maluje dźwiękami stan duchowy bohaterów i uświadczając to wszystko, czego nie można wypowiedzieć słowami i śpiewem. Traktowana jest symfonicznie.

Ale w wielu fragmentach „Holendra” kompozytor jeszcze nie zrywa radykalnie z przeszłością, łącząc własne zdobycze z najlepszymi tradycjami opery włoskiej. Owa polowiczność metody dała w tej operze bardzo interesujące rezultaty artystyczne, przyczyniając się do większej popularności dzieła wśród szerokiego rzeszy miłośników muzyki.

Treścią „Holendra” jest fantastyczna legenda ludowa krajów Północy — o pokutującym duchu żeglarza, który musi błąkać się po



Wagner i Bruckner w Bayreuth Dr. Otto Böhrer.

atry niemieckie. Choćby w operze w Dessau (NRD) usłyszeć można po II wojnie zarówno słynną tetralogię „Pierścienie Nibelungów”, jak i „Śpiewów z Norymbergii” oraz „Trystana i Izoldę”. Ale zagrać — ponad ponurość i rozlełość germańskich sag o Nibelungach — przekładać wczesne dzieła Wagnera, a

(Dokończenie na str. 3)

LUCJA DANIELEWSKA

Dzień dzisiejszy

Nie chcę, ażeby dzień dzisiejszy
przez palce niczym mi przeciekał;
chcę, żeby imię miał, kształt, serce —
żeby miał twórczą myśl człowieka.

Wiem — najważniejsza teraźniejszość,
lecz jeśli się przeszłością stanie,
niech nie powleka nam krwią twarzy
i niech nie ciąży tak, jak kamień.

Nie znamy tego, co nas czeka
a wybiegamy na pół drogi,
musimy dzień dzisiejszy mocno
zaciśnąć w garści, by nie zbladził.

Poznań 1956

Ratujmy to, co jeszcze można!

Od naszego współpracownika,
Zygmunta Pecherskiego z Konina
otrzymał następujący list:

Zabytki niszczyły nie tylko
wojna, nie tylko niszczyły je
czas. Częściej niszczy je nie-
świadomość. Jeśli ta nie-
świadomość występuje wśród
młodzieży i społeczeństwa star-
szego, to możemy boleć nad tym
faktem, lecz musimy się obu-
rzać, gdy nieświadomość wy-
stępuje u naszych władz tere-
nowych.

Mamy szereg czynników urzę-
dowych, powołanych do ochro-
ny zabytków. Na pierwszym
miejscu trzeba wymienić tu wła-
dze konserwatorskie. Okazuje
się, niestety, że nasz urząd kon-
serwatorski przy Prez. WRN
nie posiada do tej pory pełnego
wykazu zabytków podlegających
ochronie. Inwentaryzacja
objęta prawie w pełni zabytki
sztuki religijnej, w dużej części
dwory i pałace, lecz olbrzymie
braki wykazuje rejestr spich-
rzów, młynów, wiatraków, do-
mów mieszkalnych, kuźni wiejskich,
karczem itp. Tu braki są
zastraszające.

Aby nie operować ogólnika-
mi, podajemy kilka przykładów.
W Niekławstowie pow. Konin
stoi zabytkowy gotycki spichrz
w obrębie zabudowań folwarcz-
nych. Obiekt się niszczy. Po-
dobnie mamy ciekawy spichrz
w Lisewie, pow. Konin. W do-
mu na narożniku ul. Staszica i
Armii Czerwonej w Koninie za-
chowują się ozdoby z okresu
napoleońskiego (ornamentacja,
różgi lirkorskie) itd. Tego
wzrostu nie ma w reje-
strach zabytków.

Ochroną społeczną zabytków
zajmuje się PTT-K. Wprawdzie
jest tu dużo ludzi chętnych,
lecz niestety nie mających
głębszego przygotowania fa-
chowego do kwalifikacji, czy
dany obiekt jest zabytkiem?
Kwalifikacja należy do czyn-
ników fachowych.

Nie sądzimy, że zabytki ni-
szczone są celowo. Zabytek
zarejestrowany, z wykazem
podanym do właściwej Rady
Narodowej, zabytek oznaczony
tabliczką, na pewno nie będzie
niszczony.

Zarejestrowanie i otablico-
wanie jest konieczne. Nie
trzeba tu kosztownych tablic
emaliowanych. Wystarczy na-
pisać tuszem na brystolu pod
szybką, oklejoną plastrem
(ochrona przed wilgocią) i
oprawiony w skromną ramkę.
Da to świadomość, co i dla-
czego, należy chronić. Zre-
zygnujemy z jednej rekonstruk-
cji nie istniejącego zabytku (bo
to nie stwarza zabytku auten-
tycznego!), a za te sumy otab-
licujemy to, co obecnie należy
chronić.

Wówczas nie będą miały
miejsca wypadki niszczenia
zabytków na polecenie i za zgodą
władz. Oto kilka przykładów:

Na narożniku ul. Kościuszki i
Dąbrowskiego w Koninie stoi bu-
dynek dawnej karczmy wójtow-
skiej. Miała ona charakterystycz-
ne poddasza z facjatkami, w
okienkach małe szybki itd. Dom
poddano kapitalnemu remontowi
niszcząc elementy zabytkowe. Plan
remontu był zatwierdzony przez
władze budowlane. Przy ul. Kiliń-
skiego w Koninie, w lokalu użyt-
kowanym przez prywatny zakład
wulkanizacyjny była kiedyś łoża
masońska, potem dom modlitwy.
Zachowała się tam zabytkowa po-
lichromia. Na zarządzenie inspek-
tora pracy polichromia została za-
malowana.

Nie można wymagać, aby użyt-
kownik, a nawet inspektor pracy
był historykiem sztuki i mógł fa-
chowo ocenić zabytkowość nad-
niszczonej polichromii. Do znisz-
czenia wzgl. uszkodzenia na pew-
no nie doszłoby, gdyby zabytek
oznaczono tabliczką informacyj-
ną.

Albo inny fakt: w dawnym pa-
lacu w Ciążeniu pow. Słupca na
polecenie wydziału oświaty we
Wrześniu (przed utworzeniem po-
wiatu śłupeckiego) zniszczono za-
bytkowy kominek rokokowy, bo-
gato stiukowany. Można by wpraw-



Słup drogowy w Koninie z XII
wieku (ze zbiorów woj. konser-
watora w Poznaniu).

dzie wymagać od ludzi z „Oświa-
ty”, aby wiedzieli, że nie można
niszczyć kominka i stawiać na to
miejscie solidnego pieca karlowe-
go, nawet jeżeli kominek słabo
grzeje. Lecz z drugiej strony, ist-
niejąca tablica zatrzymałaby na
pewno niszczycielski remont.

Dlatego w imieniu tych, któ-
rym na sercu leży ochrona za-
bytków, apeluję o rejestrację
i otablicowanie zabytków w na-
szym województwie.

Z. PECHERSKI

Maria Teresa rzuciwszy
szybkie spojrzenie na
zegar skierowała się ku
drzwiom. Zbiegła na dół.
W bramie zatrzymała się.
Po twarzy przemknął jej dziwny
uśmiech. Podjęła decyzję. Tak,
pójdzie tam. — Na parterze
mieszkał młody człowiek. Re-
tuszer z zawodu. Czym się zaj-
mował naprawdę — trudno to
powiedzieć. Dość, że żył do-
statnio. Był zawsze przesadnie
elegancko ubrany. Kiedy Maria
Teresa codziennie rano wycho-
dziła przedkrokiem z bramy
i przecinała na ukos ulicę
spiesząc do pracy, pan Romek
często ze swego okna na parter-
ze obserwował z przyjemno-
ścią jej zgrabną sylwetkę.
Konstatał po raz nie wia-
domo który, że zbudowana jest
bardzo prawidłowo. Intuicja
kobiety Maria Teresa wyczu-
wała jego erotyczne zaintere-
sowanie i to napawała ją nie-
chęcią. Nie lubiła go. Nie
miała zaufania do ludzi żyją-
cych jakimś tajemniczym, lek-
kim życiem.

Ale Maria Teresa była dziś
bardzo głodna. Groza zbliżają-
cego się powstania wisiała w
powietrzu. Coraz trudniej by-
ło utrzymać się z korepetycji.
Całodzienna biegania po mie-
ście dawała konkretnie coraz
mniej. O głodzie trudno za-
pomnieć. Dlatego podjęła de-
cyzję — pożyczka 100 zło-
tych od pana Romka. Obawia-
ła się, że może dziś przyjdzie
dłużej biegać po mieście, —
tak na czczo od osiemnastu
godzin. Nerwowo zadzwoniła.
W otwartych drzwiach otu-
lony płaszczem kąpielowym, wy-
golony, wypoczęty stanął pan
Romek. Szerokim gestem za-
prasał do środka. Po chwili
tych dwoje stało naprzeciw

Bogdan Danowicz

O problemie „skuteryzacji” opery

Nie wiem, jakich pojazdów
więcej dziś parkuje przed
gmachem opery La Scala,
skuterów czy „Fiatów”. Nie by-
łem tam i nie widziałem. W
każdym razie do opery, jaką
nam proponuje dyr. Górzynski,
zajeżdżać należałoby dziś ra-
czej w żółtej karocy ze stan-
gretem w libelii, albo przy-
chodzić pieszo w fin de siècle-
owej pelerynie; skutery na-
tomiał zachowalibyśmy do
przyjazdu na występ grupy
jazzowej Dave Burmana z
Londynu, oglądania obrazów
Picassa i Légera lub, co naj-
mniej, naszego polskiego Niki-
fora z Krynicy.

I chyba to miał na myśli
założyciel i dyrektor paryskiej
„L'Opéra de Chambre” — Pierre
Barthélemy, pisząc, że dzisiaj
w epoce, kiedy przyzwyczajeni
jesteśmy do filmu, telewizji i
przedstawień teatru dramatycz-
nego w rodzaju teatru Jean
Vilara czy Bertolta Brechta,
nie wolno nam dłużej tolerować
nieudolności reżyserii operowej,
która od wieków nie postąpiła
ani o krok.

Nie wolno nam również w
Polsce bez oglądania się na przy-
kład Budapesztu, Berlina i Mo-
skwy — jak chce tego dyr. Górzyn-
ski — tolerować takiej reżyserii,
dla której opera jest jedynie ja-
kąś samodzielną kompozycją mu-
zyczno-wokalną, niezależną zupeł-
nie od ogólnych praw rządzących
teatrem dramatycznym. Ten typ
reżyserii w swoim najbardziej
krańcowym wydaniu nadawał
operze charakter „ukostumowa-
nego koncertu” — jak nazwał to
kiedyś sarkastycznie Piotr Cza-
kowski. Tego rodzaju reżyserzy
rekrutują się przeważnie z byłych
śpiewaków operowych, którym
trudno jest odzwyczaić się od
dziewiętnastowiecznej konwencji
inscenizacji operowych. Ludzie
ci nie są więc do tego przysto-
wani, aby rozwiązać najważniejszą
funkcję dramaturgiczną dzieła
operowego, jaką jest związanie mię-
dzy tekstem a muzyką, czyli
między właściwą konstrukcją li-
bretta i partyturą. W ich reży-
serii akcja sceniczna nie wiąże się
zwykle z rozwojem akcji muzycz-
nej. Najczęściej służy podkreśle-
niu wartości wokalnych śpiewa-
ków, którym zapewnić należy
dłatego najefektowniej i naj-
bogatsze w obfitości swoich szcze-
gółów i form tło plastyczne.

Goniąc za największym efek-
tem wokalnym i plastycznym
obserwujemy więc w naszych
operach swoiste współzawod-
nictwo między ich reżyserami
i scenografami. Jedni i drudzy
nie starają się uwspółcześnić
historii Aidy lub Carmen;
wręcz przeciwnie, ich zabiegi
idą w kierunku jak najwier-
niejszej — ich zdaniem — re-
konstrukcji historycznej rekwizy-
torni, która obca jest dziś

W numerze 27 „Nowego Świata” zamieściliśmy
artykuł polemiczny Bogdana Danowicza pt.: „Wiel-
biad i... opera”. Autor zarzucał w nim Operze poznań-
skiej swoistą sztampę inscenizacji, naturalizm sceno-
grafii, brak literackiej analizy tekstów libretta itd.
Z kolei zabrał głos dyrektor opery, Zdzisław Górzyn-
ski, pisząc m. in. w felietonie pt. „Opera i... Zwierzęta”
że „w dalszym ciągu na naszej scenie będą konie
machają ogonami w „Manon” i w „Borysie Goduno-
wie” do czasu, kiedy nie nastąpi całkowita mecha-
nizacja i na scenę zajeżdżać będą albo „Wartburg” w
„Manon”, albo Dymitr w „Borysie Godunowie” na-
nowoczesnym skuterze.”

Drukując obecnie artykuł B. Danowicza nawią-
zujący do polemiki z dyr. Górzynskim i omawiający
problemy dramaturgii operowej, sądzimy, że zamie-
szczone przez nas artykuły staną się punktem wyjścia
do szerszej dyskusji tak krytyków, jak i widzów teat-
ralnych, interesujących się problemami inscenizacji
naszych oper. Sprawa ta jest tym bardziej aktualna,
że ostatnia inscenizacja dramatu muzycznego Ryszarda
Wagnera pt.: „Holender-Tułacz” na scenie Opery po-
znańskiej przez Willy Bodensteina jest pierwszą po
wielu latach próbą odejścia od starego szablonu ope-
rowego.

co najmniej naszemu widzowi.
Chodzi on bowiem do kina i
widział w nim któreś z dzieł
René Claira czy Autant-Lara.
Widz ten szuka w teatrze aluzji
do jakiejś części własnej rze-
czywistości lub szlachetniejszego
choćby prototypu własnych
uczuć i myśli.

Tych żywych prawd współ-
czesnych nie odnajdzie, niestety,
w inscenizacjach naszych
oper, których organizatorzy
przemieniają się w pedantycz-
nych inwentaryzatorów histo-
rycznych rekwizytów i innych
muzealnych zabytków. Naj-
starsi może tylko z widzów do-
szukiwali się będą w tych
sztafpowych inscenizacjach
jakichś bardzo luźnych skoja-
rzeń i reminiscencji z tej „belle
époque”, do której rekwizytów
jeszcze tęsknią i wzdychają.

A przecież w gruncie rzeczy
wydawałoby się, że sprawa jest
dość prosta. Chodzi w niej o
zachowanie właściwej teatrowi
operowemu konwencji drama-
turgicznej, o artystyczną trans-
pozycję na język współczesny
jego fikcji teatralnej. Zadania
nie ułatwi operze ani wielbiad,
ani skuter. Wręcz przeciwnie,
zupełnie je zniekształci i zwul-
garyzuje. Co gorzej, każdy te-
go typu rekwizyt wkompono-
wany w ogólny obraz tak
zorganizowanej „fikcji” arty-
stycznej — staje się przedmiot-
em jawnego oszustwa w
stosunku do widza nie pozba-
wionego jeszcze wyobraźni

plastycznej i wrażliwości na
treść muzyczną dzieła opero-
wego.

Upstrzona „autentykami”
scena operowa przypomina
obrazy martwej natury Omena-
fanta z doczepionym do nich
na gwoździu i udrapowanym
teatralnie — kawałkiem auten-
tycznej nogi wieprzowej.
Okrzyk twórcy francuskiego
teatru ludowego Jean Vilara:
„Pas de décor!” — nabiera w
tym aspekcie specjalnego zna-
czenia. Rzecz jasna, że Vilar

Pod słońcem Odrodzenia

Dobrze się stało, że o pięknej
epoce Odrodzenia Wiedza Po-
wszechna wydała książkę*, Po-
dwójnie dobrze: raz, że jest to te-
mat, o którym szerokie rzesze czy-
telników niewiele wiedzą, a po-
winni, dwa zaś — żyjemy teraz
w epoce, kiedy prym wiodą nauki
techniczne, przyrodnicze, kiedy
tak wiele mówi się o politechniza-
cji. Nikt oczywiście nie kwestio-
nuje ważności nauk, ale jakże
piękne, jakże wzbogacające nas
wewnętrznie są nauki humani-
styczne — literatura, historia i
inne.

Jak głosi tytuł, treścią książki
ma być literatura polska epoki
Odrodzenia. Ale czy można cokol-
wiek pisać o Odrodzeniu, żeby nie
rzucić okiem na całą Europę te-
go okresu. I oto rozpoczynamy
wędrowkę, piękna, pouczającą
wędrowkę po Włoszech, Francji,
Hiszpanii, Anglii — spotykając po-
droż takich mocarzy myśli i ar-
tyzmu, jak Dante, Petrarca, Boc-

nie chciał zupełnie usuwać de-
koracji teatralnych. Chodziło
mu tylko o przywrócenie akto-
rowi tego, co odebrała mu na-
turalistyczna obsesja — wol-
nej przestrzeni sceniczej, któ-
rej nadać trzeba taki wyraz
plastyczny w geście, w kostiu-
mie i dekoracji — jaki wynika
z twórczej interpretacji tekstu
dramaturga.

W takim układzie artystycz-
nym teatr spełnia swoją naj-
zaszczytniejszą rolę w sztuce,
prowokując do samodzielnej
twórczości umysłu i wyobraźni
widza. Pokazuje mu natomiast
w różnych kombinacjach sceni-
cznych najrozmaitsze okazy
menażerii, czy choćby najnow-
szej marki samochody, depra-
wuje go w sposób jak najbar-
dziej prymitywny. Karmiony
systematycznie taką „sztuką”
widz przestanie w końcu po
wyjściu z opery odróżniać
zwykły kicz od prawdziwego
dzieła sztuki.

Tak więc obraz plastyczny
widowiska operowego dostar-
czać powinien nam zawsze jak
najtrafniejszej sugestii do
tych przeżyć związanych z
przyswajaniem sobie jego
treści muzycznych. Że tak nie
jest, świadczą o tym, z pewny-
mi małymi wyjątkami, insce-
nizacje naszych oper. Substan-
cja poetycka muzyki operowej
niszczy w nich nachalna ilu-
stracyjność jej krzykliwych in-
scenizacji. Postulat maksymal-
nej, a kosztownej „mechaniza-
cji” i technicyzacji widowiska
operowego przy zachowaniu sta-
rej jego treści inscenizacyjnej,
którą to koncepcję wysuwa dyr.
Górzynski — jest tylko jesz-
cze jedną z prób galwanizowa-
nia trupa dziewiętnastowiecz-
nej opery.

ciaccio, Machiavelli, Torquato Tas-
so; Rabelais, Montaigne; Cervan-
tes, Szekspir.

I kiedy czytelnik nabrął już sz-
rokiego tchu, kiedy zorientował
się w ogólnoeuropejskiej ówczesnej
atmosfera — autorka prowadzi go
do Polski, wraca do swojego za-
sadniczego tematu. I oczywiście, w
tym miejscu ten książkę się zmie-
nia. Analiza staje się dokładniej-
szą, sięgającą bardziej w głąb,
tło rozleglejsze, opracowane bar-
dziej drobiazgowo. Przed oczyma
czytelnika przesuwa się świetny
korowód postaci, aż do Szymono-
wicz w XVII wieku.

Książka Markowskiej, napisana
przystępnie, a równocześnie barw-
nie — to lektura dla setek tysięcy
czytelników — i to jest jej szcze-
gólnie wielką zasługą.

*) Wanda Markowska, Literatura
Polska Epoki Odrodzenia, Wiedza
Powszechna, Warszawa 1956 r., str.
238, cena 8,00 zł.

O-M-JANKOWSKI-SPOTKANIA
"WEZYR"

siebie w małym pokoju urzą-
dzonym z przesadną elegancją.

— Ja, mam do pana małą
prośbę. Proszę mi pożyczyć sto
złotych — powiedziała prędko.

Twarz pana Romka przez
jedno mgnienie skrzywił iro-
niczny uśmiech, zaraz jednak
rozjaśniła się. Oceniając jesz-
cze raz prawidłową budowę
Marii Teresy powiedział mru-
żąc oczy:

— Taka ładna, zgrabna ko-
bieta bez pieniędzy? Nieraz
już mówiłem pani, że trzeba
umieć żyć.

Trzymanym w ręku pilnicz-
kiem wyrównywał kształt pa-
znokci. — Widzi pani, ja, z
zawodu retuszer, umiem zaro-
bić. Ma się głowę. Nie mam
teraz pieniędzy, ale gdyby pa-
ni chciała — przeciągał pa-
trząc w oczy Teresy — tak ze
mną żyć... bliżej, no, żeby pani
była mniej harda, znalazłbym
dla pani niejedną sto złotych
— dokończył. — Panno Tere-
sko... — wypielegnowaną dło-
nią pogładził ją po ramieniu.

Maria Teresa udawała, że
nie rozumie wyraźnej propo-
zycji pana Romka. „Żeby już
wreszcie pożyczył te sto zło-
tych” — myślała gorączkowo.
Zaczęła mówić o tym, że bar-
dzo lubi swoją pracę z dzieć-
mi, o tym, że bardzo chętnie
uczy. Ale jest coraz trudniej.
Jest jej ciężko. Akurat tak

ży na stanowiska. Nie czuje
głodu, pomimo że jadła wczor-
raj tylko kolację. Miasto roz-
brzmiewa wystrzałami, nara-
sta groza, lecz Maria Teresa
jest szczęśliwa. Wybiła godzi-
na „W”.

15 sierpnia, Maria Teresa
nie spała już trzy noce. Roz-
zerwana bluzka spięta agraf-
ką ledwo okrywa wydatne
piersi. Pierwszy raz od tak
długiego czasu ma co jeść. Nie
jest głodna. W czasie powsta-
nia wśród zgłiszcz i ruin,
wśród pożarów i krwi. Przy
akompaniamencie „szaf” i
„krów”, wycia „Stukasów”. Ło-
skotu walących się domów.
Maria Teresa nie jest głodna.
Nie jest sama.

25 sierpnia. Kanałami prze-
szła na Starówkę. Już przeżyła
25 koszmarnych dni. Maria Te-
resa walczy. Może w tym sa-
mym domu w 39 roku stacjo-
nował ojciec — tokarz? Może
polegił na tej samej ulicy?

20 września, Maria Teresa
walczy. Naokoło gruzi. Śmierć.
Miasto kona. Janek dostał
ciężki postrzał w głowę. Ma-
ria Teresa niesie, a raczej wle-
cze o wiele za ciężkiego męż-
czyznę. Resztkami sił dosięga
bramy.

— Proszę mi pomóc, — pro-
szę mi pomóc, — woła.

Rozszerezone strachem oczy
patrzają na nią z zagłębienia
przy stróżówce. Poznała. Pan
Romek.

Dzień 1 sierpnia 1944 r.
Godzina 17.ta. Maria Te-
resa z oddziałem Miecza dą-
Romek.

— Niech pan go weźmie za
nogi!

— Też mi zajęcie karawa-
niarza!

Narzuciwszy worek na ple-
cy zniknął w klatce schodowej.
Janek umierał. Czerwona
stróżka krwi spływała nad le-
wym uchem. Jak delta rzeki
rozgałęziała się na obojętym
i rozdartej koszuli. Maria Te-
resa chwyciła go jeszcze raz
pod ramiona, lecz zaraz pu-
ściła. Brakło sił.

— Ratunku! — głos jej obi-
jał się echem o sklepienie bra-
my. Szary cień przesunął się
znowu.

— Proszę ratować — proszę
pomóc! — wołała rozpaczliwie
Maria Teresa.

— Niech pani się tak nie
drze, głupia! Naprowadzi pa-
ni Niemców. — Poznała zno-
wu pana Romka.

— Bydło! — rzuciła za nim.
Janek umierał.

1949 rok. 5 października. Duża
sala warszawskiego są-
du na Lesznie. Na ławie oskar-
żonych Maria Teresa. Wcho-
dził sąd. Obecni na sali wstają.
Oskarżyciel publiczny odcytu-
je akt oskarżenia. Kto? Pro-
kurator, retuszer, sąsiad —
pan Romek. Sprawa jak wie-
le innych. Maria Teresa Wod-
nicka winna kradzieży złotych
bransoletki, którą ukradła z do-
bywcy sobie zaufanie właści-
ciela taksówki, którego żona

Ryszard Wagner i jego dzieło

(Dokończenie ze str. 1)

WZRUSZAJĄCY LIST otrzymaliśmy w związku z artykułem Leszka Proroka i Bogdana Danowicza („Nowy Świat” nr 31 i 32) poświęconym powstaniu warszawskiemu. Nadawca listu podpisujący się pseudonimem „Szefer” (tak, jak go nazywano — Warszawa) pisze m. in.:

„Jestem teraz młody, bardzo młody. Studiuję. W sierpniu 1943 roku byłem w Warszawie. Miałem wówczas 8 lat. Lata wojny liczą się jednak podwójnie... Ja nie walczyłem. Rozwożem tylko listy i za to dostawałem książki. Tak, takie szkara by, jak ja wtedy, zbierałem książki dla naszej biblioteki. Wierzyliśmy święcie, że już niedługo będziemy mieli własną bibliotekę w wolnej Warszawie. Wiele z nas zginęło. W domu mieliśmy już wtedy 150 tomów. I to jakich autorów! Mickiewicz, Sienkiewicz, Słowacki, Krasiński, Żeromski... Te książki były dla nas bardzo drogie. Wiem tylko, że gdy powstanie upadło, jedną naszą myśl było, jak zabierzemy nasze książki. Każdy z nas (było nas sześciu) ładował do worka oprócz chleba... książki.

„Mając 8 lat nie zna się żadnych racyj politycznych. Ja kołem bardzo Warszawę i walczyłem warszawiaków. Kocham ich nadal. I dlatego bardzo, bardzo dziękuję ludziom, którzy potrafili docenić Bohaterów Warszawy... Mam tylko do Was jedną prośbę. Napiszcie też coś o najmłodszych obrońcach Warszawy. Nie zawsze walczyli oni z bronią w ręku, ale płacili tak, jak inni swoim krótkim życiem za Wolność”.

List przekazaliśmy autorom zamieszczonych przez nas artykułów i uzyskaliśmy obietnicę, że napiszą o udziale najmłodszych w powstaniu. Za naszym pośrednictwem proszą oni nadawcę listu, by zgłosił się do sekretariatu Teatru Polskiego w Poznaniu, w celu skontaktowania się z Bogdanem Danowiczem oraz odebrać zarezerwowany dla niego bilet na montaż wierszy, piosenek, humoru i dowcipu z okresu okupacji pt. „Bohaterom Warszawy”. Impreza ta powtórzona będzie w sobotę, niedzielę i poniedziałek (20, 21 i 22 bm.).

ROMUALD Z., POZNAN. Dziękujemy za cenne uwagi. Autorowi opowiadania przekazaliśmy Wasze słowa uznania.

ANIELA G., POZNAN, ŁĄKOWA. 2 nadesłanych dwóch wierszy „Świt” zawiera pewne elementy poezji. Dla naszego pisma utwór jest jednak za długi (190 linijek). Radzimy po-
uścić się z Kolem Młodych przy Związku Literatów Polskich.

morzach i oceanach aż do czasu, kiedy uwolni go młodość wiernej ko-
biety. Tragiczne dzieło bohatera (obszerny monolog w I akcie), marząca o wybawieniu żeglarska roz-
tęskniona Senta (ballada II aktu), nawoływania i sygnały upiornych marynarzy statku-widma, płynące go pośród fal i mgły — oto główne motywy ponurego dramatu, koń-
czącego się jednak wzniosłym triumfem romantycznej miłości — która pokonała burzę i wiry życia. „Serce szlachetnej Senty otworzy-
ło swą nieskończoną głębię współ-
czucia przed cierpieniami Holen-
dra. Ona poświęciła swe życie, zgi-
nęła tragicznie, lecz swoim koń-
cem przyniosła kres jego męczar-
niom” (słowa z autobiografii kom-
pozytora).

W stosunku do błyskotliwej popisowości opery wioskowej i koturnów „wielkiej opery” pa-
ryskiej — muzyka Wagnera ma znaczenie rewelacji. Po-
wstała ze wspaniałej pasji obala-
nia zmurszałych tradycji artystycznych. Zrewolucjoni-
zowała europejski teatr ope-
rowy. Wywarła kolosalny wpływ na następców (Ryszard Strauss, E. Humperdinck, E. d'Albert — w Niemczech, C. Franck — we Francji, Władysław Żeleński — w Polsce, Arrigo Boito — we Włoszech, Rimski — Korsakow w Rosji).

Jeszcze w roku 1834 pisze młody Ryszard Wagner, oskar-
żając konserwatywne prądy w ówczesnej muzyce niemieckiej: „Musimy odepchnąć i rzucić co nas przytłacza, musimy cisnąć w kąt sztuczny kontra-
punkt, musimy stać się ludź-
mi”... W roku 1848 kompozy-
tor z zapalem wita francuską
rewolucję ludową (w czaso-
piśmie „Allgemeine Oester-
reichische Zeitung”). „Wio-
sna Ludów” zastaje Wagnera
w Dreźnie. Znakomity muzyk
łączy się wówczas z ruchem re-
wolucyjnym. Przestaje na ja-
kiś czas komponować, agituje
na zebraniach politycznych,
przemawia i pisze artykuły o
treści społecznej. Przyjaźni się
z wielkim rewolucjonistą ro-
syjskim Michałem Bakuninem.
Już dawniej na wieść o po-
wstaniu listopadowym, dając
wyraz swym sympatiom dla na-
rodu polskiego, stworzył uwer-
turę „Polonia” (pytanie mar-
ginesowe: dlaczego tak rzad-
ko ostatnio w naszym kraju
wykonywana?)

Ale wkrótce wydany zostaje
rozkaz aresztowania autora
„Holendra Tutacza”. Wagner
ucieka do Weimaru, a następ-
nie do Szwajcarii. W tymże ro-
ku 1849 pisze słynną rozprawę
„Sztuka i rewolucja”, ostatecz-
nie formułując tu zasady stwo-
rzenia dramatu muzycznego
jako „sztuki przyszłości”. Po-
wstaje z kolei tetralogia „Pier-
ścień Nibelungów”, dramat mi-
łości „Tristan i Izolda”, apo-
teozą niemieckiej duszy „Spie-
wacy z Norymbergi” oraz miste-
rium „Parsifal”.

Dla idealnej rea-
lizacji scenicznej
szuk wagnero-
wskich buduje się
w Niemczech spe-
cjalny teatr w
Bayreuth (1876),
po śmierci kom-
pozytora prowadzo-
ny przez fanatycz-
nie oddaną jego
sztuce żonę, Cosimę
(córkę wielkiego
Lisztą).

Do dziś dnia nie
znajdziemy na
świecie teatru mu-
zycznego nie po-
siadającego w re-
pertuarze choćby
jednej z niezwy-
kłych oper genius-
za z Bayreuth,
który powiedział o
sobie plomienne
słowa: „Zadaniem
moim jest robić
rewolucję, gdzie-
kolwiek się znaj-
duję”.

Kazimierz
NOWOWIEJSKI

— Czego łazisz mi tu teraz — ty stara matko. Nigdy nie
możesz usiedzieć w swoim ką-
cie — warknęła Teresa.
— Patrzcie, a to ty myślisz
żeś coś lepszego od nas? Spot-
kałam potem niejedną taką
hardą jak ty... wpięro złota
bransoletka... a potem... moje
oko nie myli... he... he.

Maria Teresa zamierzyła się
trzymaną w ręku ścierką. Za
chwilę obie kobiety z piskiem
objały się o ściany celi.

— Żeby cię diabli... dławiała
się Teresa. Reszta dopinguja-
ła z przyz ubawiona jak zwy-
kle w takich wypadkach.

Kwietniowy wieczorny chłód
1956 r. i zacinający z wia-
trem drobny deszcz przyniósł
dotkliwym zimnem zziębnięte
ciało Marii Teresy. Znowu
głód ssał w żołądku. Już
czwarty miesiąc była znowu
bez pracy. Ostatnio pracowała
jako zawiązką w fabryce cu-
kierków. Karana za złodziej-
stwo. Czegoż lepszego mogła
się spodziewać? W oddziale cią-
gle ujawniano braki. Nie było
dowodów. Zwolniono Marię
Teresę. Przecież już karana
za złodziejstwo. Nie miała ni-
czego bliższego. Matka zmarła
jeszcze w czasie gdy Teresa
odsadywała karę. Nie prze-
żyła Maria Teresa sła przed
siebie bez celu pustosząca-
ją ulicą. Patrzyła na zabło-
cony chodnik pocięty kra-
tami płyt. Chłód przyniósł.
Zacięła mocniej chustkę pod
ręką. Ciałem wstrząsał
dreszcz. W mózgu pod czaszka
tomotał tepy ból.

Zatoczyła się.
Wysoki mężczyzna w płasz-
czu z podniesionym futrzanym
kołnierzem potrafił ją przecho-
dzić. Spod jego ramienia wy-
sunęła się złożona we czworo
gazeta. Upadła płasko na mo-
kry chodnik. Teresa schyliła
się, podniosła gazetę i zrobiła
kilka szybszych kroków.

— Proszę pana...
— Odczep się, ty... — rzucił
prawie się nie odwracając.

Maria Teresa została z ga-
zetą w ręku. Nie poznał. Ale
ona poznała. Pan prokura-
tor, — ongiś retuszer, sąsiad,
pan Romek, Teresa zrobiła zno-
wu kilka kroków naprzód, jak-
by chciała biec, krzyknąć...

Pan Romek już znikł w jas-
no oświetlonym wnętrzu tram-
waju. Cofnęła się we wnekę
bramy. Tępy wzrok skierowała
na trzymaną ciągle jeszcze w
rękę rozpostartą gazetę. Zu-
pełnie machinalnie przeczytała
przy nikłym blasku latarni du-
że czarne litery: „Na spotka-
nie ludziom z AK”...

W zmęczonym mózgu, jak da-
leki sen, jak skojarzenie ledwo
uchwytnie zjawiały się obrazy.
Walcące domy, błyski wybu-
chów, czyjś krzyk, krew na
czymś ciele. Pan Romek w
mroku bramy, — barykady,
kanały — powstanie.

Przymknęła oczy. Stała ciągle
wciśnięta w kąt bramy. Gazeta
znowu upadła płasko na mokry
chodnik.

Z odretwienia wyrwał ją
znajomy skądś, rechetliwy
śmiech. Otworzyła oczy. Przed
nią stała stara prostytutka z
celi więziennej.

— A to ci spotkanie! to ty
kwiatuśku? Harda Teresa.
witam, witam! — kłaniała się
teatralnym gestem stara. —
Moje cco dobre, nigdy nie
myli...

Maria Teresa nie reagowała
Pan prokurator przecisnął
szy się w głąb zatłoczone
go tramwaju wpadł niemal
w objęcia swego znajomego, se-
dziego Malisza.

— Dlaczego mi się pan tak
rzygłada?
Sędzia powiedział wolno:
— Audiatur et altera pars!

— Tak, coraz więcej spotyka
się ciekawych spraw. Są prze-
pisy prawne, które wymagają
rozszerzenia horyzontów, pew-
nej renowacji, głośniego omó-
wienia tego, co było dotąd
przemilczane. Dziś po artykule,
wie pan, w „Po Prostu” —
stwierdziłem, że zaczynam żyć.
Oddychać pełną piersią. Ja
zaraz to czuję. Ale winien
był wszystkim kult jednostki.

Sędzia Malisz podniósł na
prokuratora oczy rozszerzone
dziwieniem. Pan Romek zmie-
zał się.

— Dlaczego mi się pan tak
rzygłada?
Sędzia powiedział wolno:
— Audiatur et altera pars!

— Tak, coraz więcej spotyka
się ciekawych spraw. Są prze-
pisy prawne, które wymagają
rozszerzenia horyzontów, pew-
nej renowacji, głośniego omó-
wienia tego, co było dotąd
przemilczane. Dziś po artykule,
wie pan, w „Po Prostu” —
stwierdziłem, że zaczynam żyć.
Oddychać pełną piersią. Ja
zaraz to czuję. Ale winien
był wszystkim kult jednostki.

Sędzia Malisz podniósł na
prokuratora oczy rozszerzone
dziwieniem. Pan Romek zmie-
zał się.

— Dlaczego mi się pan tak
rzygłada?
Sędzia powiedział wolno:
— Audiatur et altera pars!

— Tak, coraz więcej spotyka
się ciekawych spraw. Są prze-
pisy prawne, które wymagają
rozszerzenia horyzontów, pew-
nej renowacji, głośniego omó-
wienia tego, co było dotąd
przemilczane. Dziś po artykule,
wie pan, w „Po Prostu” —
stwierdziłem, że zaczynam żyć.
Oddychać pełną piersią. Ja
zaraz to czuję. Ale winien
był wszystkim kult jednostki.

Sędzia Malisz podniósł na
prokuratora oczy rozszerzone
dziwieniem. Pan Romek zmie-
zał się.

— Dlaczego mi się pan tak
rzygłada?
Sędzia powiedział wolno:
— Audiatur et altera pars!

— Tak, coraz więcej spotyka
się ciekawych spraw. Są prze-
pisy prawne, które wymagają
rozszerzenia horyzontów, pew-
nej renowacji, głośniego omó-
wienia tego, co było dotąd
przemilczane. Dziś po artykule,
wie pan, w „Po Prostu” —
stwierdziłem, że zaczynam żyć.
Oddychać pełną piersią. Ja
zaraz to czuję. Ale winien
był wszystkim kult jednostki.

Na ekranach kin
poznających wy-
świetlany jest o-
becnym film pro-
dukcji radzieckiej
„Otello”. Oto jak
Sergiusz Jutkie-
wicz reżyserował
jedną ze scen „O-
tello” w drzwiach
S. Bondarczuk
(Otello) i A. Po-
pow (Jago).

To i owo

W czasie odbywającej się corocz-
nie tradycyjnej „przejażdżki kró-
lów” po Morzu Jońskim i Adria-
tyku, na jacht „Achilleus” — wio-
żący z Wenecji przedstawicieli ro-
dów królewskich — książąt oraz li-
czną arystokrację — załadowano
mnóstwo smakolików. Uczestnicy
wycieczki „skonsumowali” 2 tony
brzoskwiń, 2 tony gruszek i tyleż
śliwek, 200 skrzyń szampana fran-
cuskiego, 140 skrzyń wermutu wo-
skiego, wypalili 4000 paczek papie-
rosów. Nie dziwny się, że chorują
później na niestrawność.

Laurence Olivier zdobył „Złoty
laur” 1956 roku za reżyserowany
przez siebie film „Ryszard III”.
Przyznanie nagrody, ofiarowanej
przez producenta amerykańskiego
Davida O. Selznicka zostało poda-
ne do wiadomości na otwarciu fe-
stiwalu kinematograficznego w E-
dynburgu.

40 km od afrykańskiego Orana
odkryto ruiny, które jak twierdzą
uczeni, są pozostałością miasta za-
łożonego w początkach IV wieku
przez rzymskiego cesarza Diokle-
cjana. Reszki elementów pozwalają
zidentyfikować dawne świątynię,
forum oraz akwedukty.

W Singapurze jeden z sędziów wy-
dał postanowienie, na mocy które-
go pewien operator kinowy, który
zajmował się wyświetlaniem nie-
obyczajnych filmów, skazany zo-
stał na umieszczenie w zakładzie
dla osobników niedorozwiniętych.

Tradycja i postęp

(Dokończenie ze str. 1)

krytykować nie wolno. W teo-
rii może tak, ale w praktyce? Niechby
rybak spróbował! I do kogo z tą
krytyką pójdzie? Ka-
szub jest realista. Nie usiłuje
wciąż bić głową o mur — pa-
pierowy, lecz trwalszy niż pi-
ramidy.

Jeszcze do niedawna rybaczy
łączyli się w maszoperie, małe
kilkusobowe zrzęsenia (sięga-
ły tu niegdyś wpływy fla-
mandzkie, stąd nazwa; mogła
też przyjść i poprzez Niemcy).
Ale i maszoperie postarano się
ująć w biurokratyczne karby.
Przydano każdej nadzorcę, by
dyrygował związkiem, naka-
zywał, o której wyruszyć na
półów, wyznaczał godzinę pow-
rotu, planował ilość ryb. Rybak
nie będzie urzędnikiem. Zostaje
nim ten, kto nie rozumie mo-
rza, ani rybaka, czyli z tym
większym tupetem rozstrzyga,
zarządza i włada. W rezultacie
Kaszub ucieka z miejsca, ma-
szopera upada. Lecz zostaje
urzędnik.

Mało tego, rozmnaża się. Z
gromadą pomocników wypełnia
nieskończone tabele. Zachodzi
w głowę, skąd powstał deficyt
gdzieś dawniej był zysk, oblicza
wysokość strat, narzeka na ry-
backi brak dyscypliny, wymie-
rza ogrom „objętych” trudności
na drodze do socjalizmu. I, oczywiście,
pobiera pensję i premie.

Na Helu nie ma żadnego
miasta, są tylko małe osady i
wioski. Jednakże dawniej nie
trzeba było wystawać godzinami
dla kupienia bochenka
czerstwego chleba. Ani noco-
wać przed jednym sklepikiem
dla dostania mleka.

Nie lekceważmy takich roz-
żalonych powiedzeń i chlebowo-

— mleczych szczegółów ży-
ciowych. To drobne może objawy,
ale poważnej choroby. Choroby
tym przykrejszej, że rozwinięta
się pod osłoną obojętności
„czynników” pod sfalszowanym
szylde socjalizmu. Na wy-
brzeże socjalizm dociera, nieste-
ty, w tej tylko postaci.

Prawda, docierają tam jesz-
cze letnicy. Ale czy w nich
upatrywać reprezentantów so-
cjalistycznej myśli i kultury?
Bo jeśli posłuchać tego co mó-
wią rybakom i między sobą,
można przypuścić, że z całej
Polski zjechała tutaj wyłącznie
ostawiona inicjatywa prywat-
na. W rzeczywistości zaś wcale
tak nie jest.

Julian STAWIŃSKI

FILM

POLSKA

Film „Nikodem Dyzma” we-
dług motywów i postaci z po-
wiesci Mostowicza „Kariera Ni-
kodema Dyzmy” jest w zasa-
dzie gotów do wyświetlania.
„W zasadzie” to znaczy, że
brak jeszcze tylko „drobnostki”
w postaci kopii masowych,
których (ponadto) brak do
„Zemsty” według Fredry.

Działaj już nie scenariusze
ale produkcja kopii masowych
jest wąskim gardłem naszej ki-
nematografii.

JUGOSŁAWIA

W nowym filmie o II wojnie
światowej noszącym tytuł „Do-
lina pokoju” występuje znany
aktor murzyński John Kitz-
miller, którego rewelacyjną
kreację aktorską z 1947 roku w
filmie „Vivere in Pace” mo-
żna nareszcie ujrzeć w Polsce.
Jeżeli nowy film z Kitzmille-
rem będzie szedł równie dłu-
go, to zobaczymy go u nas w
1957...

Największym wydarzeniem se-
zonu filmowego w Jugosławii
jest niemiecko-włosko-jugosła-
wiańsko-angielska produkcja fil-
mu „Michał Strogoff” według
powieści Juliusza Verne pt.
„Kurier carski”. Jest to zresz-
tą X-ta wersja tej powieści,
w tym najświeższa z Iwanem
Możuchinem i Iwanem Petro-
wiczem. Na podstawie scenariu-
sza Marca Gilberta Sauvagona,
film reżyseruje Carmine Gal-
lone w obsadzie Curd Jurgens
i Genevieve Page.

FRANCJA

Jednym z najbardziej oczeki-
wanych filmów francuskich jest
„Zbrodnia i kara” — drugi film
Georgesa Lampin na podstawie
powieści Dostojewskiego (pier-
wszy „Idiot” z G. Philipe z
r. 1947 nie odniósł specjalnego
sukcesu). Film ma międzyna-
rodową obsadę. Grają: Ulla Ja-
cobson (z filmu „Ona tańczyła
jedno lato”), Jean Gabin, Ma-
rina Vlady (znane z filmu
„Przed potopem”), Bernard
Biller, Gaby Morlay (widziana
ostatnio jako „mama” w „Tata,
mama gospośka i ja”) oraz Ca-
rette, którego świetnej roli
oberżyty w „Czerwonej obe-
rzy” na pewno nie zapomnie-
liśmy.

NIEMCY ZACHODNIE

Do klasyki filmów niemiec-
kich należy zrealizowany przed
objęciem przez Hitlera władzy
film „Kapitan z Kopenick”. O-
becnym słynnym realizator ni-
emiecki, twórca „Ostatniego mo-
stu” — Helmut Kautner — na-
kreślił nową wersję tego filmu
opartego na autentycznym wy-
darzeniu i dziele Zuckmayera.
Rolę główną gra znany komik
niemiecki Heinz Rühman. Film
niewiele różni się od poprzed-
niej wersji i jest nowym tytu-
łem do sławy Kautnera.

Zebrał: L. Bukowiecki.

odnajęła jej jeden pokój ze
swego mieszkania. Oskarżona
nie miała stałego miejsca pra-
cy. Nie ma wyuczonego zawo-
du. Sucho padaty słowa aktu
oskarżenia.

Głos ma oskarżona.

— Nie mogłam znaleźć pra-
cy. Jeśli ją znalazłam, zwa-
lano mnie wkrótce pod każ-
dym blachym pretekstem. Mam
starą sparaliżowaną matkę,
która już nie może zarabiać
praniem. Dopuścić mi się tego
czynu. Nie wiedziałam, jak
wybrnąć z ciągłego niedostat-
ku.

Przesunął się przed sądem
korowód świadków. Znamy ją.
Uczciwa. Bardzo spokojna.
Chyba głód zmusił ją do doko-
nania takiego czynu.

Oskarżyciel publiczny ma
głos.

— Maria Teresa Wodnicka
nie potrafiła zorganizować so-
bie życia. Zając się uczciwą
pracą. Pozykać zaufania pra-
codawcy. Natomiast w perfid-
ny sposób wkradła się w zaufa-
nie swoich gospodarzy, mając
z góry na celu dokonanie tej
kradzieży. Jest elementem o
wrodzonych cechach przestęp-
czych. W trosce o wychowanie
naszej socjalistycznej mło-
dzieży, o jej moralny poziom
tak zachowania brakiem nale-
żytnej opieki w czasie młodości
wojny — mocno skandował
prokurator — domagam się za
czyn ten kary 5 lat więzienia

Sala wstaje. Sędzia odczy-
tuje wyrok:

W imieniu Rzeczypospolitej
Polskiej! Sąd po rozpatrzeniu
sprawy uznał Marię Teresę
Wodnicką winną dokonania
czynu przestępczego... oskar-
żona na wyrokiem Sądu skazana
zostaje na karę 3 lat więzie-
nia...

Maria Teresa potwierdziła.
Za trzy tygodnie.
Stara wylazła z kąta celi.

Przeciw „urzędolaniu” w kulturze

(Dokończenie ze str. 1)

towych redaktorów. Nie więc dziwnego (co jest tajemnicą poliszynela), że całkowity dochód, jaki przynosi większość naszych pism literackich, służy na pokrycie pensji ich redaktorów — a za papier, druk, honoraria autorskie, kolportaż płaci państwo, czyli — my...

Chodzi więc o to, aby szczególnie wojewódzkie zarządy instytucji kulturalnych nie były nadmiernym obciążeniem budżetu poszczególnych województw, którego nie rekompensuje zupełnie praca zatrudnionych urzędników, a właściwie mówiąc: biurokratów kulturalnych.

Zależy to oczywiście od przygotowania i wykształcenia ludzi, którzy mają być pionierami decentralizacji kultury w naszym kraju. Znany jest przykład słynnego pułkownika Różańskiego, który z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego został przeniesiony na stanowisko dyrektora Państwowego Instytutu Wydawniczego i pracował na nim „owocnie” przez kilka, na szczęście, miesięcy. Otóż w wojewódzkich zarządach instytucji kulturalnych (w radach bowiem pracować będzie głównie aktyw społeczny) nie powinno być miejsca dla ludzi, którzy ze względu na swoje prawdziwe czy urojone zasługi „wymagają” intratnej, a zwłaszcza niemieckiej posady. Kult jednostki winien być tutaj szczególnie tępony i zastąpiony przez „kult” fachowości, realnych kompetencji i rzetelnego przygotowania do kierowania, a raczej do pomagania życiu kulturalnemu Wielkopolski. Tych ludzi nie potrzebuje zatem być wielu, ale muszą być oni jednostkami uczciwymi i odpowiedzialnymi, o specjalnie wyostrożonej wyważalności na głos tych, którym kultura i jej instytucje mają uprzyjemnić i uszlachetniać życie.

Dlatego wydaje mi się nieodzownym — przy powołaniu do życia Wojewódzkiej Rady Kultury i zarządów instytucji kulturalnych — zasięgnięcie opinii o ich obsadzie personalnej środowisk twórczych, aktywności nauczycielskiej i bibliotekarskiej, młodzieży akademickiej i pracowników naukowych; słowem — tych wszystkich, którzy mają szczególne kwalifikacje i prawo mówić o kulturze, a nawet decydować. Myślę, że wszystkie te czynniki, jak również ludzie prasy i radia, wypowiedzą się jednogłośnie za odebraniem Wojewódzkiej Radzie Kultury i Zarządowi Instytucji Kulturalnych sztywnego charakteru aparatu urzędowego, a właściwie biurokratycznego — za zamianą ich w pulsujące życie dyskusji i polemiki komórk społecznej, jak najbardziej podobne do dobrowolnych zrzeszeń obrońców demokracji nie tylko w twórczości, ale także i w upowszechnieniu kultury, sztuki, oświaty.

Być może, takie postawienie sprawy nie będzie w smak tym wszystkim, którzy upatrywali już sobie w Wojewódzkim Zarządzie Instytucji Kulturalnych nie najgorsze posadki, pozwalające w spokoju i bez specjalnego wysiłku przeprowadzić żywot człowieka nie tyle pocziwego, ile leniwego, a zarazem krzyczącego głośno o swoim „trudzie i wysiłku w budowie Polski Ludowej”. Ale dość już mamy „urzędolania” w kulturze i nie chcemy jeszcze jednego rozsądnika tej gróźnej choroby społecznej.

Zbigniew PĘDZIŃSKI

Izotopy służą gospodarce

(Ciąg dalszy ze str. 1)

montażu — Pln. na Zeraniu w Warszawie.

Trudno byłoby wylizować wszystkie wypadki praktycznego zastosowania izotopów. Użyto ich przy badaniu stopnia wilgotności murów — m. in. w Collegium Maius w Krakowie, gdzie zbadano, czy stopień wilgotności sal nie zagraża ekspozatom. W warszawskim Muzeum Narodowym prof. Kwiatkowski, po służąc się talem 204, prześwietla znaleziska archeologiczne, aby ustalić ich wiek, sposób skonstruowania itd. Służą nam niedawno po znane: tal 204, Fe 59, stront 90, cez 137, kobalt 60.

Służą w coraz większym za' resie

Izotopy wymagają więc coraz więcej fachowych kadr. Z początku kilkunastoosobowa grupa naukowców przeszła przeszkolenie w zakresie pracy z reaktorem w ZSRR, grupa krakowska z kolei zapoznała się tam z obsługą cyklotronu. Ich śladem następną grupę wyjechały zagranicę dla podniesienia kwalifikacji. Obecnie stałe szkolenie odbywać się będzie przy naszych wyższych uczelniach. Fizyki ją drowej uczyć będą uniwersyteci: warszawski i jagielloński. Radiochemię poprowadzi również Uniwersytet Warszawski oraz Politechnika Wrocławska. Politechniki: warszawska i gliwicka wykładają będą energię jądrową.

CZY ATOMOWCY POLSCY MOGĄ SIĘ WYKAZAĆ WŁASNYMI OSIĄGNIĘCIAMI?

Mimo dotychczasowego braku warunków kontynuowali oni tradycję naszych wielkich badaczy promieniotwórczości. Do dorobku nauki wiele wniósł prof. Danysz swoim odkryciem tzw. hyperonu, związanego w jądrze atomowym. Obecnie prof. Wilhelm, korzystając z pobytu w ZSRR, przy pomocy radzieckich urządzeń wykrył i zbadał nową reakcję, wskutek której powstaje jądro nowego pierwiastka. Prof. Wilhelm opracowywał już dawniej to zagadnienie, nie mógł jednak przeprowadzić badań z powodu braku odpowiednich urządzeń.

Oto jeszcze jeden dowód zna

czenia współpracy międzynarodowej przy badaniach tajemnic przyrody. W ten sposób mogą włączyć się do badań i wnieść do nich poważny wkład uczeni z krajów, które same nie mogą prowadzić tych prac badawczych. Współpraca uczonych z różnych krajów i wymiana doświadczeń otwiera olbrzymie perspektywy przed nauką. Cel jest wspólny, wszystkim bliższy: podporządkować siły przyrody człowiekowi — po to, by służyły jego dobru.

W. KOR.

Rekord szybkości na szynach

Szybkość 243 kilometrów na godzinę na odcinku długości 40 kilometrów osiągnął pociąg we Francji, składający się z lokomotywy silnikowej i trzech wagonów pasażerskich. Jest to rekord nie tylko dla pociągów pasażerskich: osiągnięta szybkość bije światowy rekord ruchu po szynach, ustanowiony już w roku 1932 przez specjalną niemiecką aerolokomotywę o dwóch podwoziach z silnikiem lotniczym i śmigłem (235 kilometrów na godzinę).

Dążenie do wzmagania szybkości na kolejach (co jest przyczyną częstych katastrof), jakiemu ulegają niektóre kraje kapitalistyczne, wywołane jest niezdrową konkurencją z transportem samochodowym i powietrznym. Ile taka walka magnatów transportowych kosztuje ludzkich istnień, świadczy fakt, że żadne towarzystwo ubezpieczeniowe nie zgadza się na ubezpieczanie życia ludzi podróżujących ekspresami. (B)

Czyż nie ma już?

Szkice o Leninie

Józef Kozłowski — Epizody i ludzie. Str. 144, cena zł 3,50 „Książka i Wiedza” 1956 r.

Jest to zbiór szkiców o Leninie, z uwzględnieniem jego pobytu w Polsce i stosunku do Polski i Polaków.

MIK

HERB

Najpierw parę wypowiedzi o charakterze pamiętnikarskim, obrazujących opinie tak zwanych czynników pośrednich:

1945. „Po co nam to, obywateli! Raz na zawsze minęły czasy tytułów i herbów, którymi tak hojnie szafowała szlachetko — obszarnicza Polska. Zresztą zajęci jesteśmy teraz



rozdzieleniem ziemi wśród biedoty wiejskiej.”

1948. „W żadnym wypadku nie możemy dopuścić, by przedwojenny herb w niezmienionej formie widniał na naszych tramwajach, taksówkach i gmachach użyteczności publicznej. Walczymy o nowe w naszym życiu, a to, co stare, skazane jest na obumarcie. Zresztą zajęci jesteśmy teraz likwidacją analfabetyzmu.”

1950. „Pomysł przywrócenia miastu jego dawnego herbu jest w istocie swej słuszny. Należałoby tylko, naszym zdaniem, dokonać takiej jego adaptacji, byśmy mogli w nim widzieć dzieło socjalistyczne w treści, a narodowe w formie. Trzeba wymieniać postacie, figury na herbie. Powinny to być sylwetki np. aktywistów związkowego, przewodnika kontraktacji rzepaku lub najlepszego kucharza PZG. Sprawa ta jednak nie powinna nam przesłonić bieżącego zadania, jakim jest zagospodarowanie odłogów na Żulawach.”

1954. „Proces rewizji naszych poglądów na zagadnienie tradycji objął m. in. i sprawę herbów. Uważamy, że nie ma nic złego w sięganiu do pewnych przeszłych elementów naszej kultury narodowej. Nie dopuszczamy jednak, aby pod szyldem odwilżowych dyskusji odradzały się nastroje reakcyjnego religianctwa. Bo jakże inaczej nazwać fakt domagania się przywrócenia naszego miastu herbu, w którym — jak sobie towarzysze przypominają — figurują postacie dwóch autentycznych świętych! O tym nie należy zapominać, chociaż w obecnej chwili jesteśmy bardzo zajęci dyskusją na temat

Traszk

Karol Dusza

Różnica

Miedzy złobkiem a złobem jest pewna różnica: Złobek dzieci bawi, złób starszych zachwyca.

Pewien działacz

Zawsze działa jak turbina, bo bez wody nie zaczyna.

Mleczna droga

Jedyny wieczny: bar mleczny.

W roku 1956

Straciłem najmiłszą, już związaną słówkiem. Dałem jej swe serce, lecz rywał... żarówkę.

Kara

O Boże! złych aniołów trza było w piekło nie wtrącać, lecz za karę polską żyłką golić im się dać bez końca.

Ryszard Podlewski

O wzroście

Kiedy przestał rość fizycznie zaczął w fotel wrastać ślicznie.

Po XX Zjeździe

Na kacyka „przyszła kryska” oraz zjazd... ze stanowiska.

niedostatecznej produkcji środków antykonceptyjnych.

*

Ten interesujący tok interesujących wypowiedzi musimy przerwać przypomnieniem pewnego wydarzenia. Prezydium MRN w Poznaniu zwróciło się pismem do Prezydium Rządu w sprawie herbu: Można używać czy nie należy? Niedawno temu nadeszła odpowiedź, że nie widzi się w tym względzie żadnych przeszkód.

Nie chcemy przypuszczać, że

pozytywne załatwienie sprawy poparte zostało interwencją obu zainteresowanych świętych, dla których zrobienie cudu nie przedstawia — jak wiemy — specjalnych trudności. Ale jedno jest pewne: na gmachach urzędowych, tramwajach i taksówkach zobaczymy wkrótce herb m. Poznania: skrzyżowane klucze, brama miejska, a po bokach dwaj święci.

— Ha! znamy się na tym — powie niejeden z mieszkańców — na pewno święci-patrioci...

Lech Konopiński

O aluzjonistach

Plawmy się znowu w nowych sloganach — „Odwilż”, „Przymrozek”, „Wielka Przemiana”. Mówmy — Krytyka to orez w walce, Lecz nie wskazujmy nikogo palcem. O błędach mówmy tylko w ten sposób, Jakby nie było „błądzących” osób. Po cóż nam rzucać obelgi harde?? — Niech sobie kacyk jeździ „Packardem”! Przecież to właśnie — daję wam słowo — Demokratycznie jest i ludowo! I chyba jakiś tam hipokryta Wspomni o placach, o emerytach... Po co odkrywać masz prawdę nagą?? — Powiedzą jeszcze, żeś jest demagog! Zostaw to lepiej! Dobrze ci radzę! Po co obrażać „wysoką władzę”?! Pogniewać może się jakiś kacyk, Zemścić się zechce! Zwolni cię z pracy! O wiele lepsze są już aluzje. Przyjmuj chętnie największy tuz je! Nie chwyci za to nigdy za mordę! Pochwali raczej. Może da order?!

Aluzyjności chwalmy więc wdzięki
A nikt nie wyrwie nam pióra z ręki!!!

B. Agurienko

HUMORESKA

Go wolno wojewodzie...

Dyrektor centrali „Głównasieka” Niedźwiedź dowiedział się, że Zając kropnął sobie przy obiedzie tyżeczkę miodu. Miod był stary, mocny, toteż Zając upił się do nieprzytomności.

Według hierarchii służbowej miał on w orkiestrze pasiecznej grać na bębnie, a tymczasem położył się w cieniu ula i spał; nie tylko bębniem, ale nawet gromem nie można go obudzić.

Niedźwiedź się rozgniewał:

— Do mnie go! Pijanego czy trzeźwego, żywego czy umarłego!

Na Zająca wylano dziesięć szklanek wody, podniesiono za uszy, potraźnięto na słońcu — i do Niedźwiedzia.

— Ty znowu, co?! Znowuś pijany! Skandal! — wykrzyknął Niedźwiedź jednym tchem. Potem niemal szepcąc, serdecznie dodał: — Zrozum, Zajączku, miod — to zło społeczne. Zrozum mnie dobrze... Kropnąłeś jednego, drugiego... W głowie galimatias... Przychodź do domu, żona się awanturuje. Ty ją, rozumie się, pod żebrzo... Przecież bijesz Zajączkę? Zdarza się to, nieprawda? I masz ci los! I na służbę się spóźniłeś, boś zasnął, a gdybyś zaczął walić w bęben, tylko byś głupstw narobił. Tak czy nie?

— Tak je—e—est, panie dyrektore!

— Właśnie. Idź i prześpij się!

— Przenieść go do gospody w charakterze kelnera! — rzucił Niedźwiedź do sekretarza.

Zając wyprowadzono.

W południe przyjechał Niedźwiedź do pasiek na obiad. Pięć-



dziesiąt hisic-kełnerek przybiegło, cztery beczki miodu otwarto.

A Zając już siedzi na kamieniu i zalewa się pijakami łzami.

— Nie używajcie zła społecznego, panie dyrektore! Nie używajcie! Od tego w głowie galimatias... Do domu przychodzisz, żona się awanturuje. Wy ją, rozumie się, pod żebrzo...

— Precz, zuchwale! — krzyknął Niedźwiedź. — Jeszcze w czasach starożytnych mawiano: „Co może Jupiter, tego nie wolno bykowi”. A ty nie jesteś nawet bykiem, tylko Zającem. Daleko ci do Niedźwiedzia.

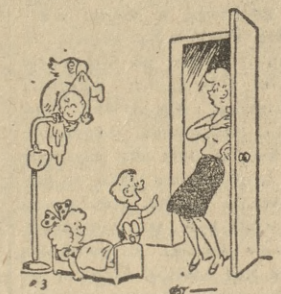
I zacerpnął ogromnym dzbanem miodu...

Przełożył z rosyjskiego
Fr. SWARZYCA



— Co za psia pogoda! Szczęście, że jesteśmy w domu!

(„Ullenspiegel” - Amsterdam)



— Bawimy się w mamę, tatę i dziecko, a twoja papuga jest bocianem.



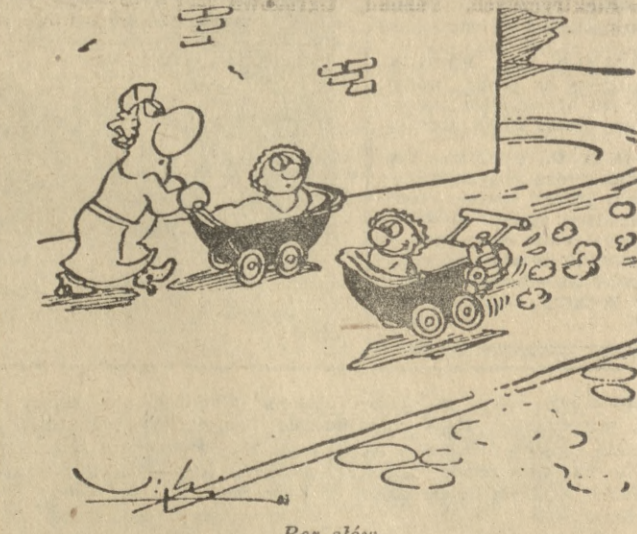
— Potrzeba jest matką wynalazków...

Rys. H. Derwich



— Kocha, lubi, szanuje...

(„Avanguardia”)



Bez słów.

(„Ullenspiegel” - Amsterdam)

